

Grzegorz Kostrzewa-Zorbas: Trudno mówić dziś o doktrynie politycznej USA [GEOPOLITYKA]

Aktywność wojskowa USA bardzo zmalała – społeczeństwo amerykańskie okazało się na tyle zmęczone wojnami, że przestało wierzyć w ich dalszą skuteczność. Jest to jeden ze stałych elementów w amerykańskiej kulturze politycznej



Aktywność wojskowa USA bardzo zmalała – społeczeństwo amerykańskie okazało się na tyle zmęczone wojnami, że przestało wierzyć w ich dalszą skuteczność. Jest to jeden ze stałych elementów w amerykańskiej kulturze politycznej - z dr. Grzegorzem Kostrzewą-Zorbasem o roli USA w dzisiejszej geopolityce rozmawia Jakub Pyda

Jakub Pyda: Co zmieniło się w ostatnich latach w doktrynie politycznej Stanów Zjednoczonych? W czym należy szukać źródeł jej współczesnej wizji polityki zagranicznej?

Dr Grzegorz Kostrzewa-Zorbas: Polityka Stanów Zjednoczonych w ostatnich latach musi być rozpatrywana w kontekście historii XX wieku oraz wieków wcześniejszych – również w kontekście epoki założycielskiej. Jednak rzeczywiście w 2001 roku zmieniło się bardzo wiele. To, co wydarzyło się w ciągu ostatnich czternastu lat ma największe znaczenie dla teraźniejszości oraz najbliższej przyszłości.

Po 11 września 2001 roku zdecydowana większość amerykańskiego establishmentu uznała, że właśnie nastąpił przełom tak głęboki, jak nigdy dotąd i należy zmienić całą politykę wewnętrzną i zewnętrzną. Była to przesada – jednak z pewnością mogliśmy zaobserwować duży zwrot. Nastąpił ostatni jak dotąd wzrost znaczenia siły wojskowej i służb specjalnych oraz doszło do zanikania granic między tymi obiema jednostkami. Wzrosła aktywność i zaczepność amerykańskiej polityki przy pomocy instrumentów wojskowych. Był to okres jednej z największych mobilizacji w historii stosunków Stanów Zjednoczonych z resztą świata. Po tym wszystkim w roku 2008, kiedy Barack Obama wygrał w wyborach prezydenckich, nastąpił zwrot w przeciwną stronę. Nie była to zmiana tak wielka jak ta poprzednia, sprzed siedmiu lat – amerykańskie wahadło nie wychyliło się do punktu wyjścia, ale było to w dużym stopniu odejście ku większej pasywności. Doszło do bardzo daleko idącego ograniczenia używania sił zbrojnych, chociaż znaczenie służb specjalnych w tym czasie relatywnie wzrosło. W tym okresie niezwykle naprzód postąpiła technologia – priorytetem administracji Obamy stało się używanie dronów. Wkrótce dołączą do nich

odpowiedniki lądowe i morskie – one już dziś istnieją, tyle że nie są wykorzystywane na zbyt dużą skalę. Dowodzenie tego rodzaju środkami powierza się częściej Centralnej Agencji Wywiadowczej (CIA) niż Pentagonowi. Ogólnie biorąc, aktywność wojskowa bardzo zmalała – społeczeństwo amerykańskie okazało się na tyle zmęczone wojnami, że przestało wierzyć w ich dalszą skuteczność. Jest to jeden ze stałych elementów w amerykańskiej kulturze politycznej. O ile konflikt nie zagraża bezpośrednio istnieniu Stanów Zjednoczonych, bardzo szybko następuje zjawisko społecznego zmęczenia. Wojna z Al-Kaidą, a także obecnie prowadzona z Państwem Islamskim oraz z wieloma odmianami dżihadyzmu, nie zagraża istnieniu Stanów Zjednoczonych – najwyżej ich interesom oraz sojusznikom. Stopnia zagrożenia nie sposób jednak porównać do zimnej wojny, gdy wojskowa potęga sowiecka mogła zniszczyć, podbić czy uzależnić od siebie Stany Zjednoczone. Wcześniej podobną groźbę odczuwali Amerykanie podczas wojen światowych, mimo że działania wojenne w bardzo ograniczonym stopniu działały się na zachodniej półkuli. Wyrastanie w Europie globalnej potęgi militarystycznej najpierw cesarskich Niemiec, później III Rzeszy, sprawiało, że Amerykanie czuli zbyt duże zagrożenie. Obecnie zaś takich obaw nie ma. Jeżeli wojna nie zagraża wolności Stanów Zjednoczonych, wojna jest postrzegana jako akceptowalna metoda prowadzenia polityki zewnętrznej. Pod warunkiem, że kończy się szybkim zwycięstwem. Dlatego właśnie wojna w Wietnamie została odrzucona przez amerykańską opinię publiczną. Ten schemat powtórzył się do pewnego stopnia w przypadku wojny z terrorem i ciąży dziś na amerykańskiej polityce nie tylko w kontekście dżihadyzmu, lecz także wobec Rosji – w szczególności Ukrainy.

Co do zmian, powtórzę, była nie jedna, ale dwie wielkie zmiany – jedna 11 września 2001 roku, druga w dniu wyborów 2008 roku, gdy Jon McCain przegrał z Barackiem Obamą. Wokół tych dwóch punktów

zwrotnych działa się jeszcze więcej, niekoniecznie w tym samym rytmie. Należy tu wymienić wzrost znaczenia Izraela, który jest do pewnego stopnia związany z 2001 rokiem, natomiast już nie z 2008 rokiem. Izrael zyskał na wartości do tego stopnia, że obecnie w deklaracjach większości Amerykanów jest oceniany jako najważniejszy sojusznik na świecie. Także w deklaracjach polityków, ekspertów i całej opinii publicznej. Jednakże w prawdziwej treści tej polityki Izrael nie może odgrywać tak ważnej roli, ponieważ jest za małym i za słabym państwem. Dużo istotniejszymi partnerami są Japonia, Wielka Brytania czy kontynentalne państwa zachodnioeuropejskie, w szczególności Niemcy. Na Bliskim Wschodzie bardzo ważna z perspektywy amerykańskiej jest Arabia Saudyjska, mimo że porozumienie nie obowiązuje na mocy traktatu sojuszniczego (podobnie zresztą jak z Izraelem). Jednak w amerykańskiej kulturze prawnej prawo zwyczajowe jest równie mocne jak prawo skodyfikowane w traktach. Nie istnieje więc odpowiednik Paktu Północnoatlantyckiego czy dwustronnych traktów sojuszniczych, jakie Stany mają z Japonią czy Koreą Południową, ale obowiązuje nieformalny, niepisany sojusz uważany za równie mocny. O ile w rzeczywistej polityce Izrael nie stał się ważniejszy od Japonii czy Wielkiej Brytanii, o tyle w wypowiedziach o polityce zagranicznej i wojskowej wspomina się zwykle tylko o Izraelu. Widać to bardzo wyraźnie w obecnej kampanii prawyborczej, zwłaszcza po stronie Republikanów. Monopol wątku izraelskiego w tym środowisku został sprowokowany faktem udziału kilku kandydatów-izolacjonistów. Najlepszym przykładem jest Rand Paul. Libertarianin, początkowo izolacjonista, porzucił to stanowisko, uznawszy, że nie można wzywać do zerwania sojuszu z Izraelem, ponieważ grozi to zbyt wieloma stratami wyborczymi. A skoro zaprzestano izolacjonizmu względem jednego państwa, w ogóle zrezygnowano z uprawiania tego rodzaju polityki. Rand Paul nie wzywa już do tego, do czego wzywał jego ojciec, Ron Paul, a więc do zerwania wszystkim stosunków z resztą świata i wycofania wojsk na własne terytorium. Co ciekawe, przejmując

inicjatywę polityczną w dynastii, nie spotkał się z protestem ojca. Dziś już żaden poważny polityk nie głosi takich poglądów, to wiązałoby się z jego absolutną marginalizacją. Widać więc, że relacje USA – Izrael są dyktowane wewnętrznymi sprawami Stanów Zjednoczonych.

Wspomnę jeszcze o tym, że w okresie pierwszego 15-lecia XXI wieku zmieniało się znaczenie względów i interesów gospodarczych w postawie Stanów Zjednoczonych wobec reszty świata. Analiza najróżniejszych stosunków międzynarodowych jest dużo częściej ekonomiczna, niż była w czasach zimnej wojny. Jest to zauważalne szczególnie po 2008 roku. W okresie 2001-2008 w myśleniu Amerykanów dominowała przede wszystkim wojna oraz bezpieczeństwo, ale nie pojmowane w sensie ekonomicznym. W tym przypadku moment przełomu łatwo uzasadnić tym, że właśnie wtedy wybuchł wielki kryzys gospodarczy, który Stany Zjednoczone szczególnie mocno przeżyły. Trwał on dużo krócej niż w Europie, ale odczuwano go dużo intensywniej, między innymi dlatego, że oczekiwania oraz optymizm Amerykanów względem gospodarki były większe. Dlatego dziś, kiedy pada hasło „Chiny”, słowo-klucz, to owszem, Amerykanie zastanawiają się nad prawdopodobnymi zmaganiem politycznymi, ale w równie dużym stopniu, co nad kwestiami gospodarczymi.

Na zakończenie chciałbym wrócić do pojęcia sformułowanego w pytaniu. Trudno mówić dziś o doktrynie politycznej Stanów Zjednoczonych. Kiedyś owszem, bywały – wszechstronne i wyraziście sformułowane, ale nie może być mowy o „doktrynie Obamy”, mimo że używano tego określenia na początku jego prezydentury (w kontekście dwóch wojen prowadzonych wówczas przez USA – w Iraku i w Afganistanie). Jest to dużo mniej, niż dawne amerykańskie doktryny w

rodzaju doktryny Trumana, która była jedną z podstaw polityki przez całą zimną wojnę. Obecnie prowadzona polityka oznacza mniej nawet od doktryny Reagana. Dziś nie ma tak precyzyjnie sformułowanej doktryny, ani nie ma na nią zapotrzebowania. Amerykanie przestali myśleć przy pomocy tego instrumentu. Próbują za to rozwiązywać setki problemów o znaczeniu krajowym.

Nawiązując do użytej przez Pana metafory wahadła, chciałbym zapytać o to jak wiele może się zmienić w polityce zagranicznej Stanów Zjednoczonych po nadchodzących wyborach prezydenckich?

Jest zbyt mało podstaw, by próbować przewidywać zwycięstwo jednej z partii czy jednego z kandydatów. Walka między nimi jest zrównoważona, choć nie znaczy to, że całkowicie symetryczna. Jeśli przypisywać jakąś konkretną cechę tym zmaganiom, to wskazałbym przede wszystkim na płynność. Nie pozostając jednak na poziomie ogólników – myślę, że prawdopodobnie Republikanie zachowają większość w obu izbach kongresu, Demokraci zaś utrzymają Biały Dom. Zarówno jedni, jak i drudzy będą mieli duży atut i sytuacja pozostanie podobna do obecnej. To wyraża tę względną równowagę. Jeśli chodzi o płynność, to trzeba wspomnieć o tym, że co kilka tygodni zmienia się lider w prawyborach po stronie Republikanów i równie często zmianom ulegają sondaże dotyczące już właściwych wyborów prezydenckich. Przez długi czas Hilary Clinton, czołowa kandydatka Demokratów według wszelkich prognoz wygrywała z każdym konkurentem ze strony republikańskiej. Po czym osłabiona między innymi różnymi aferami wokół niej, zaczęła kilka tygodni temu z niektórymi przegrywać. Teraz z kolei po kilku udanych wystąpieniach odrabia straty.

Jeśli chodzi o stronę Republikanów, to od kilku tygodni można wskazać zdecydowanego lidera – Donalda Trumpa. Nie ma on jednak podstaw do trwałej dominacji, zbyt wiele w nim słabości i wad. Zza niego wyłonił się względnie trwały kandydat numer dwa Republikanów – Ben Carson – ale on ma jeszcze więcej wad. Prawdopodobnie w dalszych etapach obaj padną, ale czy na pewno? Trudno powiedzieć. Te prawyборы są tak trudne do oszacowania dlatego, że biorą w nich ludzi, którzy nie są politykami, nie podlegają jednakowym regułom. Poza Donaldem Trumpem i Benem Carsonem jest jeszcze paru innych. Trochę przypomina to wejście do amerykańskiej polityki Rossa Perota, który pozbawił George'a H. W. Busha drugiej kadencji prezydenckiej, ponieważ odciągając część konserwatywnego elektoratu, zapewnił zwycięstwo lewicowemu, demokratycznemu kandydatowi, Billowi Clintonowi. W historii polityki Stanów Zjednoczonych jest to rzadka sytuacja, w której trzeci kandydat miałby znaczący wpływ na pojedynek dwóch głównych pretendentów na urząd prezydenta. Przy okazji zbliżających się wyborów może dojść do takiego nietypowego zdarzenia od wewnątrz Partii Republikańskiej lub od zewnątrz – po ewentualnym odsunięciu od partii ubiegający się o urząd mogą zawsze uczestniczyć jako kandydaci niezależni. Sytuacja jest, jak widać, wyjątkowo nieprzewidywalna i skomplikowana.

Gdyby zapytał Pan o program polityki zagranicznej, w tym wojskowej i ekonomicznej, Donalda Trumpa czy Bena Carsona, to nie da się na to odpowiedzieć. Nikt tego nie wie, nawet oni sami. Carson pozostaje zupełnie niemy w tej dziedzinie, natomiast Trump rzuca jedynie hasłami. Zapytany o potencjał wojskowy, odpowiada „żaden inny możliwy prezydent nie byłby tak «prowojskowy» jak ja”. Pozostaje na

tym poziomie ogólności i nic ponadto. To może być zaskakujące, że w supermocarstwie tak wygląda kampania wyborcza, ale – nie ma co ukrywać – tak po prostu jest.

Zaangażowanie Stanów Zjednoczonych w Syrii lub szerzej – na Bliskim Wschodzie, jak Pan mówił, prowadzi do zmęczenia wojnami. Czy, patrząc szczególnie w kontekście rywalizacji USA z takimi mocarstwami jak Chiny, to wyczerpanie uderza w ich potencjał wojskowy?

Zaangażowanie, często niechętnie, Stanów Zjednoczonych na Bliskim Wschodzie z pewnością wyczerpuje. Mimo to głównym źródłem zmniejszenia się potencjału wojskowego jest kryzys gospodarczy, a zwłaszcza jego wymiar finansowy - nadmierne zadłużenie władz federalnych. Jest ono jednym z najwyższych w historii Stanów Zjednoczonych, wyższe zdarzało się tylko podczas wojen światowych. Podjęto powszechny program oszczędności, dotykając tego, co ma największe skutki w perspektywie wyborczej, a więc programy socjalne, emerytalne i wszelkie inne adresowane bezpośrednio do obywateli. Łatwiej jest przeprowadzać cięcia budżetu wojskowego, jednak takie podejście sprawia, że siły zbrojne Stanów Zjednoczonych obecnie ledwo dają radę wykonywać wszystkie zadania. Z najwyższym trudem i ryzykiem mogłyby przeprowadzić wojnę lądową w Syrii, czy na dużą skalę wojnę lądową w Iraku. W żadnym z krajów, w których wojska USA stacjonują, nie jest możliwe, by przeprowadzić na tyle sprawną mobilizację, żeby mieć pewność wygranej. Tym też można tłumaczyć to rozciąganie się w czasie działań wojennych. O ile potencjał wojskowy do wojen średniej wielkości dałoby się jeszcze zorganizować kosztem innych regionów świata, o tyle nie ma woli politycznej prowadzenia takich działań. Jest to na obecną chwilę zbyt wielkie ryzyko, nawet

pomimo przewagi ilościowej i jakościowej wojsk amerykańskich nad wojskami poszczególnych krajów. Mniejsze straty przynosi wojna powietrzno-morska. Duża wojna lądowa, taka jak zajęcie Afganistanu jesienią 2001 roku, czy Iraku wiosną 2003 roku, jest dzisiaj poza możliwościami woli politycznej, a jednocześnie byłaby ogromnym obciążeniem z punktu widzenia potencjału wojskowego. Razem składa się to na blokadę decyzyjną. Dlatego Amerykanie tylko bombardują Państwo Islamskie, wysyłają komandosów oraz prowadzą cyberwojnę. Takie formy prowadzenia wojny są jednak za mało skuteczne, żeby ją rozstrzygnąć.

Przenieśmy się nad Europę Środkowo-Wschodnią. Jaki stosunek mają Stany Zjednoczone do koncepcji Międzymorza, która jest przecież jej siłą polityczną w stosunkach z Rosją?

Taka koncepcja nie istnieje w myśli amerykańskiej. W Polsce stworzono wrażenie, że rozmieszczenie amerykańskiej broni, amunicji i wszelkich innych materiałów strategicznych w państwach wschodniej flanki NATO to polityczne wsparcie dla idei Międzymorza. Nic podobnego. Jest to raczej uzupełnienie pustej dotąd przestrzeni. W niektórych wschodnich krajach NATO nie było nawet najmniejszej trwałej obecności Stanów Zjednoczonych, w innych była mała – przykład Polski i bazy lotniczej w Łasku. Teraz będzie jej dużo więcej, ale dlatego, że państwa od Estonii po Bułgarię są flanką wschodnią NATO i odgrywają rolę geopolityczną i geostrategiczną stosunkowo podobną do Niemiec Zachodnich podczas zimnej wojny. Niemcy Zachodnie były krajem granicznym, w razie zmiany wojny zimnej w gorącą, stałyby się frontem. Dziś głównym krajem frontowym jest Polska. Amerykanie wciąż opierają się przed przyznaniem tego, że akt założycielski stosunków NATO – Rosja jest przestarzały i powinien być odrzucony.

Między innymi z tego powodu nie odważają się jeszcze założyć dużych baz sił bojowych w Polsce, ale się do tego zbliżają. Składowanie materiałów wojskowych, a także powstanie dowództwa brygady amerykańskich wojsk lądowych w Ciechanowie jest tego zapowiedzią. Dotąd obecność wojsk amerykańskich w Polsce skupiała się w zachodniej i środkowej części kraju, Ciechanów zaś jest pierwszym punktem wysuniętym na wschód i leży na linii prostej między Kaliningradem a Warszawą. Jest to bardzo mocny sygnał niedoceniony w Polsce. Nawet jeśli jest to tylko dowództwo i skład, to są one tam po to, by można było szybko przetransportować drogą powietrzną oficerów i żołnierzy oraz stworzyć znaczący bojowy oddział będący ostrzeżeniem dla Rosji.

Takie rozumowanie w dużo większej skali niż Międzymorza zostało wzięte przez większość polskich ekspertów oraz dziennikarzy jako wsparcie dla koncepcji *Intermarium*. Takiego wsparcie nie ma i nie będzie między innymi dlatego, że Amerykanie przyglądają się potencjałom geopolitycznym takich rozwiązań, a potencjał Międzymorza jest znikomy. Jeżeli wziąć pod uwagę wszystkie kraje zaliczane do Międzymorza, które są członkami NATO lub Unii Europejskiej, to wszystkie razem stanowią mniejszy potencjał niż Polska. Nie zmienia to zatem niczego. Polska jest w skali europejskiej państwem średniej wielkości. W perspektywie światowej jest około dwudziesta pod względem potencjału wojskowego, Rosja natomiast, nie biorąc pod uwagę miar czysto finansowych, jest druga. Wzmocnienie Polski dużą liczbą bardzo słabych państw nic nie zmienia. Niemniej Stany Zjednoczone nadal pozostają odpowiedzialne za bezpieczeństwo Polski na mocy Paktu Północnoatlantyckiego i jego wzmacniających interpretacji w życiu NATO. A zatem – czy Polska jest tak ważna dla Ameryki? Nie. Ale wiarygodność Ameryki jest bardzo ważna dla Ameryki. W tym cała rzecz. Jeżeli już raz Stany Zjednoczone podpisały

traktat sojuszniczy z Polską, to pozostawanie Polski bez skutecznej obrony zniszczyłoby wiarygodność Traktatu Północnoatlantyckiego i NATO, mało tego – zniszczyłoby wiarygodność wszystkich sojuszy amerykańskich w świecie.

Czy wzmacniająca interpretacja traktatu może nieść negatywne konsekwencje dla Polski? Przekonanie o opiekuńczej roli Stanów Zjednoczonych względem mniejszych państw może pociągać za sobą wyolbrzymione nadzieje.

Odpowiedzi na takie pytanie zawsze są wskazywaniem prawdopodobieństwa, pewności co do przewidywań nie ma nigdy. Szanse na dotrzymanie gwarancji przez Stany Zjednoczone są wysokie nie dlatego, że Polska jest ich ważnym sojusznikiem, ale dlatego, że Amerykanie są świadomi globalnej odpowiedzialności, jaka na nich spoczywa oraz bardzo cenią swoją pozycję w świecie. Zostawiając Polskę samej sobie, tak jak Wielka Brytania i Francja to uczyniły w 1939 roku, Stany Zjednoczone utraciłyby wiarygodność. Zapanowałaby wówczas chaos, doszłoby do negatywnej zmiany wizerunku Ameryki i w efekcie do izolacji. Z czasem wzrosłoby ryzyko nieprzychylnych działań politycznych i gospodarczych z zewnątrz, co wiązałoby się z kompletną porażką Stanów Zjednoczonych. Globalna odpowiedzialność Ameryki nie oznacza jednak obowiązku zapewnienia bezpieczeństwa każdemu mieszkańcowi reszty świata – przypisywanie jej takiej misji jest złudzeniem. Zadanie, które stoi przed Stanami Zjednoczonymi może być źródłem nadziei dla Polski, ale nie wystarczy, by mieć gwarancję. Duże znaczenie w tych relacjach może mieć polonia amerykańska. Jeżeli się uaktywni się politycznie, a władze państwa polskiego będzie z nią współpracować, może powstać bardzo mocne wsparcie dla sojuszu polsko-amerykańskiego porównywalne nawet ze wsparciem

amerykańskich Żydów dla sojuszu izraelsko-amerykańskiego. Jest to jednak długa droga. W pewnym stopniu taki układ jest możliwy, w końcu niektórym państwom się udało. Mała, do niedawna biedna Irlandia uzyskała ogromne zaangażowanie Stanów Zjednoczonych przeciwko Wielkiej Brytanii, jednemu z najważniejszych sojuszników USA od I wojny światowej. Dzięki pomocy władz amerykańskich Republika Irlandii otrzymała prawo współdecydowania o losie Irlandii Północnej. W tym przypadku o zagrożeniu wojny regularnej nie było mowy, natomiast wojna nieregularna się toczyła. Rozwiązanie tej trudnej sytuacji nastąpiło nie dzięki wadze geopolitycznego Irlandii, która jest krajem peryferyjnym i neutralnym, ale działalności około 30 milionów Amerykanów irlandzkiego pochodzenia. Polska diaspora w Stanach Zjednoczonych nie jest wprawdzie aż tak liczna, ale ma wyższą pozycję społeczną. W związku z jej zaangażowaniem można mieć pewne nadzieje.

Polityka Stanów Zjednoczonych ma bardzo szeroki zakres. Z jednej strony zмага się z kryzysem wewnętrznym, z drugiej natomiast jest zaangażowana w konflikt na Bliskim Wschodzie. Do tego zмага się także rosnącą konkurencją Chin, które pretendują do roli światowego hegemonu. Czy wobec tego można by postawić tezę, że pozycja Stanów Zjednoczonych już teraz uległa osłabieniu?

Układu dwubiegunowego już dawno nie ma. Jego jedyną pozostałością jest w przybliżeniu symetria strategiczna arsenałów nuklearnych Stanów Zjednoczonych i Rosji. W żadnej innej dziedzinie nie ma takiego mechanizmu równowagi. Nawet w potencjale wojskowym konwencyjnych sił zbrojnych – wprawdzie Rosja jest druga na świecie, ale wciąż pozostaje dużo niżej w hierarchii niż Stany Zjednoczone.

Nawet mimo wszelkich działań modernizacyjnych przeprowadzonych przez Putina. Gdy bowiem w 2008 roku w Gruzji okazało się, że rosyjskie czołgi są zardzewiałe i z trudem najeżdżają obcy kraj, unowocześnienie armii stało się jednym z priorytetów. Dziś, 7 lat później widać, jak wiele zmieniło się na korzyść Rosji, jednak kolejność w światowej hierarchii pozostała taka sama.

W Stanach Zjednoczonych obecny układ sił nazywa się „wielobiegunowym” – to jest ulubione określenie Rosji i Chin, ale Amerykanom również nieobce. Przyjmując do wiadomości tę niewątpliwą zmianę, która dokonała się na przestrzeni ostatnich lat, chcą utrzymać dominującą rolę, odstępując jednocześnie od mitu własnej omnipotencji. Amerykanie nie chcą jeszcze bardziej rozszerzać swojego zakresu obowiązków wobec świata. W myśli amerykańskiej pojawiła się koncepcja, według której jedną z głównych zasad poprawnego funkcjonowania państwa na arenie międzynarodowej jest unikanie konfliktów. Naczelną regułą byłoby selektywność w angażowaniu się w obce konflikty – problem lokalny stawałby się istotny dopiero wtedy, gdy wpływałby on na pozycję Stanów Zjednoczonych w świecie.

W kwestii regionalnego charakteru konkurencyjnych potęg – Rosja przez długi czas traciła globalny charakter na rzecz regionalnego (dość nietypowego, bo w kilku regionach świata naraz). Pozostawała konkurentem w Europie, w Azji Wschodniej i Środkowej. Teraz natomiast wróciła na Bliski Wschód. Jej celem jest oczywiście powrót do dwubiegunowości, wielu Rosjan, w tym sam Putin, nie jest w stanie widzieć swojego państwa inaczej niż jako symetrycznej konkurencji dla Ameryki. Póki co z perspektywy amerykańskiej są to działania na wyrost, nie uznali, by pojedyncza operacja ze strony

Rosjan w Syrii była powrotem do sowieckiego rozmachu sprzed lat. Rosja w oczach Amerykanów nie urosła jeszcze do rangi globalnego przeciwnika. Ciekawszym przypadkiem są Chiny. Jedną z największych debat w Stanach Zjednoczonych toczy się w związku z wątpliwością, czy Chiny są tylko potęgą regionalną, czy globalną. Wielu Amerykanów, choć jeszcze nie większość, jest przekonanych, że Chiny wyrastają na nowego przeciwnika w układzie dwubiegunowym, a przyszłość może przynieść zimną wojnę na linii USA – Chiny. Nie byłaby to wojna w takim układzie jak ze Związkiem Radzieckim, natomiast z zachowaniem równowagi sił. Na razie to zrównanie nie nastąpiło w żadnej dziedzinie, ale pod względem gospodarczym Chiny nadrabiają w nieprawdopodobnym tempie – zarówno jeśli chodzi o technologię, jak i innowacyjność oraz wykonanie jakościowe. Wojskowo ulegają nie tylko Stanom Zjednoczonym, lecz także Rosji, ale tempo rozwoju Chin w każdej istotnej dziedzinie jest zdecydowanie wyższe niż jakiegokolwiek innego państwa świata. To wielu Amerykanów dostrzega, jednak większość wciąż traktuje Chiny jako potęgę regionalną. Poza ekspansją kulturową i bezpieczeństwem gospodarczym w granicach Azji Wschodniej i Południowo-Wschodniej, Amerykanie nie zauważają Chin nigdzie indziej. Zakładają, że ponad ten poziom Chińczycy nie są w stanie się wznieść. Podają nawet historyczne argumenty brzmiące następująco: „U szczytu swojej potęgi Cesarstwo Chińskie nie posunęło się dalej niż do dzisiejszego Kazachstanu, dalekiego wschodu Rosji i Oceanu Indyjskiego”. Nie wierzę w to, ponieważ jak mówi teoria realizmu: żadna potęga nie zatrzymuje się, dopóki ktoś jej nie zatrzyma.

Z dr. Grzegorzem Kostrzewą-Zorbasem rozmawiał Jakub Pyda